№ 14 WARSZAWA, DNIA 5 KWIETNIA 1913 ROKU ROK III



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

JAN POWALSKI.

W GRODZIE ŻAKÓW.

Ciąg dalszy.

— To on ich judzi, — odezwał się ten i ów.—jak w zeszłą Środę.

— Nad złego sąsiada nic nie masz gorszego.

— Teraz, — mówił Samuel,—od złośliwości ich już wytrzymać trudno.

— Porąbać!—zawołał zawzięcie mocny, krępy scholarz, z ostremi oczyma czarnemi, zwany Rafałem.

— Nie sztuka!—odparł Samuel mimochodem.—Trzeba ich przycisnąć tak, by ani pisnąć nie śmieli. Tylko który ruszy kogo z naszych: do rektora z nim!

— Zapisz się, zapisz!—doradzał Pietrek Hieronimowi, cały przejęty wielkiem znaczeniem jego roli.

— Najlepszą sprawę byśmy mieli, — rzekł Samuel. — Bo my biliśmy rękami jeno, a oni bronią. A to rzadsze jest niż można pomyśleć.

— Nawet nie wiem, czyli kiedy tak było za ludzkiej pamięci, — powątpiewał Rafał.

Hieronim milczał, aż któryś ze scholarzy odezwał się obelżywie:

— Beanus! Jest nad czem dumać!

Hieronim nie wiedział nawet, co za streszliwą obelgą szkolną było to słowo. Ale Samuel odwracając się rzekł dobitnie:

— Sameś bean! On tak stawał jak mało który z was, a ty co mu przytykasz?

Pójdźmy do Włocha! — odezwały się głosy.—Tam będziecie radzili.

— Pójdźmy, pójdźmy! In vino veritas.

Przyspieszyli wszyscy kroku i po chwili zbiegli jak huragan po schodkach do piwnicy, gdzie miał winiarnię Włoch, Wiktor Genueńczyk.

W winiarni.

Scholarze zaroili się po piwniczej sklepionej izbie, zasiadając ławy, popychając się. Odrazu posypały się żarty, krzyki, śmiechy.

— Wina! wina! wołano zewsząd.

— Co to dzisiaj za młodzi, zaszepleni! jakiś starzec wyschły jak jabłko w suszarni, odsuwając się z niesmakiem. — Przypomnij sobie wasze jak to bywało za naszych ojców, za króla Olbrachta, za króla Aleksandra... za starego króla Zygmunta... a teraz...

Jego towarzysz spokojnie kiwał głową, wpadłszy w pewien rytm, którym zarówno przytakiwał gorzkiemu głosowi starego, jak i kołysał własne swoje dumanie. Stary, upiwszy z czarki wina, wytarł cienkie, pomarszczone wargi i spojrzawszy zgryźliwie to na tych, to na owych, znów począł wyłuszczać różnicę, którą dostrzegał między temi a dawnemi czasy.

Genueńczyk tymczasem i sam nosił wino i posyłał z niem pachołka swego, czarnego niemal jak murzynek.

— Węgierskiego! - wołał Rafał.

Stach i Pietrek, jako nowi, powinni byli stawiać.

— Ty sześć groszy, ja sześć groszy, to dwanaście, — rzekł Pietrek pocichu, spiesznie. — postawimy im dwanaście kwart wina...

— Ej. — rzekł Stach przezornie - a jeśli to nie z naszej bursy, trzeba będzie znów bursakom stawiać i seniorowi osobno, drugi raz. A skąd wziąć?

— Skąpcze! szepnął Pietrek,—nie masz to z dziesięć grzywien na sobie?

— Sss... Ty nie wiesz... Ja szukam księgi... mnie i to mało, jak kropla w morzu, a tu tyle, tyle trzeba, by ją znaleźć...

— Co? Co?—zapytał Pietrek zdumiony, nic nie rozumiejąc.

— Potem ci powiem, nie teraz,—odrzekł Stach, żałując, że tyle już wygadał.

— Daj choć trzy grosze,—napierał Pietrek, którego zaczynała ogarniać gorączka zabawy. - Ja już dodam resztę.

Stach pokręcił głową.

— Gorzej dać trzy, niż sześć,—rzekł.— Brzyćko.

— To jakże?

— Już niech będzie sześć,—rzekł Stach znękany.—Postawimy dwanaście kwart.

— Cóż wy nowi? — zawołał jeden ze scholarzy. - Pójdźcie! A może stawiacie?

— Iście! Jakże inaczej! — podniósł się hałas, gdyż wszyscy się ucieszyli z tej gratki.—Wina, wina stawiajcie!

> «Dum bibo wino
> Stat mihi kolano krzywo».

zaśpiewał któryś.

— „Piwo” nie „wino!” — poprawił go inny.—Wałkoniu! Poetyka nie wieszli, co mówi?

— Stawiamy dwanaście kwart!—zawołał Pietrek.

— Vivant! — krzyknięto.—W górę ich! Trzy garnce! Vivant!

— Gospodarzu! Dwanaście kwart! — krzyczeli inni.—Płacą zaraz, dobremi pieniędzmi!

— Pokażcie! — rzekł Włoch nieufnie, ale dobrą miną pokrywając swoje wątpliwości, by nie urazić klientów.

Pietrek sypnął na stół dwanaście groszy.

— Węgierskiego! —zawołał.

Gospodarz zgarnął starannie pieniądze i posłał swego pachołka przynieść wina.

Małe, dymne lampki ledwie rozświetla-

ty twarze skupione wokół nich nad stołami. Olbrzymie cienie skakały po nizkiem sklepieniu, po szarych ścianach.

— Zamkną bursy! — przypomniał wśród wrzawy któryś.

— Do bursy z winem! — zakrzyczeli inni.

— Nie, nie! — opierał się jakiś żak z kąta, — to nie to samo, bursa czy piwnica.

— Pachnie mu rózga, — odpowiedziano.

— Zostać, zostać! Dobra myśl jeno w winiarni! — krzyczeli drudzy.

Wyrwała się pieśń:

«In tabernis quando sumus,
Niescimus quia sit humus,
Ibi mullus timet mortem
Sed pro Baccho mittunt sortem».

Ale już gromada zakręciła się wokół przyniesionego wina, i podchwytując pieśń hulaszczą zabierała wino i wyprawiała się na schody. Za nią pchała się reszta, jak pszczoły za matką.

— Zostań, — rzekł Samuel, przytrzymując Hieronima, — chcesz? Musim pomówić, gdy oni wyjdą.

Hieronim skinął głową i siedział, czekając, co Samuel mu powie. Tymczasem wziąwszy od pacholika wody i zwilżywszy szmatkę, ocierał sobie krew zaschłą na ręce.

Samuel milczał, obracając na stole czarkę z winem. Dopiero gdy ostatni ze scholarzy wyszli na ulicę ze schodów, rzekł, podnosząc głowę i patrząc w oczy Hieronimowi:

— Widzę, żeś ani tchórzliwy, ani wałkoń światem się włóczący — czegóż przeto niechcesz się do szkoły jakiejkolwiek zapisać, nauk przejść? Przecieć to każdemu i przystojniej, i godniej w życiu, gdy wie, co i jak jest. A jeszcze, gdy od twego zapisania tyla sprawa i takie zwycięstwo naszych zależy.

— Klechą nie będę, — odrzekł Hieronim. (Samuel się żachnął) — Wam radbym się przysłużył, kiedy tyle o tem trzymacie. Ale spieszno mi dalej iść, i nie chcę zwlekać.

— Każdy, myślisz, kto w szkołach był, księdzem będzie? — zawołał Samuel.

Hieronim takie prawie miał przekonanie. Inaczej, pocóżby tracili czas na śmiertelnie nudną pracę uczenia się łacińskich słów i reguł?

— A medyki? — rzekł Samuel. — A prawo? Wielu się wyświęca, a ilużto takich jest, co się uczą, by potem czy u dworu pana jakiego, czy przy królu chleb dobry mieć? A bakałarze? A mało to takich jest, co nauki tu przeszedłszy, dalej jadą, w świat — do Włoch, do Niemiec, do Paryża we Francjej, dla samej nauki... Kraje one dalekie oglądają, i wiedzą prawie wszystko, co wiedzieć można... Ani pomyśleć, co oglądać można po świecie szerokim...

Samuel skończył mówić z cicha, oczyma widząc jakby owe cuda odległe, pod innem słońcem, niebem, z cudzą mową, innym obyczajem.

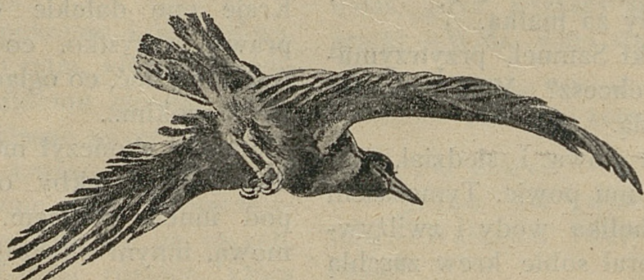
Hieronim słuchał go — i nieznana mu nigdy tęsknota poczęła go ogarniać: zdawało mu się, że widzi wieczorem, w niebie rozgorzałem od zachodu słońca, klucz żórawi ciągnących ze skrzypotą śpiewną hen, na zachód, ponad krajami. Obłoki na niebie były jak złote wyspy, jak góry różane, a błękit między niemi jak morze olbrzymie, po którem można żeglować do cudnych światów, dalekich, dalekich.

D. c. n.

Marzec w życiu ptaków.

DOKOŃCZENIE.

Innym wytrwałym na mróz ptakiem naszego kraju, jest wrona. Ptak ten przez trzy pory roku oddaje rolnikowi ogromne usługi, tępiąc mnóstwo różnych darmozjadów. Gdy tylko ziemia po rozmarznięciu obeschnie o tyle, że można już zacząć orkę wiosenną, natychmiast na polu ukazuje się wrona, a idąc świeżo wyoraną bruzdą tuż za oraczem, bystremi oczami wypatruje zdobyczy. Nie przepuści żadnemu pędrakowi, podjadkowi, ani glistom ziemnym, każdego z tych szkodników chwyta szybko mocnym dziobem, wyciąga z wygodnej kryjówki zimowej i pożera natychmiast.



Wrona.

Zna ona wybornie rolników, uprawiających ziemię: widując ich dość często oswaja się z nimi i zbliża się z całym spokojem, uciekając tylko przed wiejskiemi dziećmi lub ludźmi inaczej ubranymi. Nie poprzestając na ziemnych robakach, wrona porywa także czasem małe ptaszki, a nawet kurczęta lub kaczątka i gąsięta, lecz to są rzadkie wypadki. Prawdą jest jednak, iż zakosztowawszy raz mięsa z drobiu domowego, potrafi nań bardzo sprytnie czatować, aby znów jaką sztukę porwać, a o inny pokarm już się nie troszczy, wysiadując gdzieś wysoko na drzewie w pobliżu podwórza lub kurników całemi godzinami. Tak rozzuchwaloną wronę strzałem tylko odstraszyć można. Pośrednio jednak wyświadczają wrony pewną przysługę drobiowi: oto nienawidząc jastrzębia, gdy go dojrzą krążącego nad podwórkiem, rzucają się nań całą gromadą, kracząc przeraźliwie. Krzyk ten sprowadza i dalej żerujące wrony, i cała ta rzesza kracząca lata wślad za jastrzębiem, który wkońcu zawsze kapituluje i ucieka zmęczony do najbliższego lasu lub zarośli.

Pożywiwszy się przez lato i jesień w po-

lu, z nadejściem zimy osiedla się wrona w pobliżu mieszkań ludzkich, żerując po podwórzach i śmietnikach, nie gardząc najlichszem ziarnem, zgniłemi resztkami potraw, a nawet padliną.

silny dziób, aż wycierają sobie zupełnie pióra przy jego nasadzie i pozostaje tam tylko naga skóra. Gnieżdżą się towarzysko na drzewach, splatając z gałązek dość niedbale swoje gniazda, a wrzask i nieporządek tych ptaków, czynią z nich niemiłych towarzyszy.



Gawrony i ich gniazda.

Podobne do wrony obyczaje ma lśniąco-czarny gawron, lecz nie jest tak napastliwy i żarłoczny.

Wczesną wiosną gawrony rozpoczynają swą robotę z oczyszczaniem pól od szkodników; gdy już ludzie skończyli orkę, wyszukują one sobie same w ziemi pożywienia, tak mocno zagłębiając w niej swój

Ładnym, nieszkodliwym ptakiem jest **szpak**, żywiący się również roślinożernemi owadami: chętnie osiedla się w skrzynkach drewnianych, zawieszanych na ten cel na drzewach, obłaskawia się łatwo i uczy wymawiać niektóre wyrazy dość

prędko. W marcu, jeśli tylko niema większych mrozów, szpaki wracają z południa i wkrótce rozpoczynają przegląd okolicy, aby się wygodnie na lato rozgospodarować. Mają pióra czarne, lśniące metalicznym połyskiem.

POGOŃ NAOKOŁO ZIEMI

OPOWIADANIE WSPÓŁCZESNE

opracował J. Szczawiński.

Ciąg dalszy.

Po kilku minutach klucz zgrzytnął, drzwi się otworzyły i Monsard z Janem znów byli razem.

Nie mówiąc ani słowa, Monsard wyciągnął z kieszeni nóż i przeciął pęta przyjaciela. Jan był wolny.

Obydwaj nasłuchiwali przez chwilę pod drzwiami, prowadzącemi za kurytarz, lecz najmniejszy znak życia nie dochodził do ich uszu. Czem mogli sobie wytłomaczyć to zagadkowe milczenie? Czy Chińczycy skryli się, czy też razem z Gonzalesem opuścili dom?

Monsard opowiedział w krótkich słowach, w jaki sposób został uwięziony.

— Byłem złapany przez Chińczyka — rzekł.

Na pytanie moje, czy tu mieszka Gonzales, wskazał mi, milcząc na drzwi. Zapukałem w nie, a na pytanie, kto tam jest, odpowiedziałem zmienionym głosem:

— Grzegorz Smith z Nowego Orleanu, przychodzę z polecenia brata pańskiego, Józefa.

Odsunięto zasuwkę i w szparze drzwi ukazała się głowa Gonzalesa. Nie mogłem, niestety, w tym momencie zapanować nad sobą, gniew mną owładnął na widok tego oszusta, wtargnąłem więc gwałtem do pokoju, chcąc go schwycić. Mocując się ze mną, złapał mnie za przyprawioną brodę i połowa została w jego ręku; teraz, rozumie się, poznał mnie. Na krzyk jego rzuciło się na mnie dwuch Chińczyków, jeden z nich uderzył mnie pod kolana tak silnie, że upadłem na ziemi, i tu mnie już bandyci zupełnie obezwładnili.

Gonzales zaś wyjrzał przez okno na ulicę i zawołał:

— A tam stoi mój kochany przyjaciel, Chmurzyński! Zobaczymy czy i jego uda nam się złapać do pułapki.

I polecił Chińczykowi w mojem imieniu

zawołać ciebie. Dalej wiesz sam, co się stało.

— I teraz siedzimy w tej pułapce, podczas gdy przebiegły oszust kpi sobie z nas— rzekł rozdrażniony Jan.

— Zobaczymy, może przez okno można będzie stąd uciec?

W tej chwili, gdy zbliżali się do okna, zauważyli niezwykłe zjawisko. Olbrzymie kawały płótna przesuwały się po szybach, tak, że w pokoju zrobiło się ciemno, następnie ukazał się gruby pal drzewa, który swoim końcem muskał okna, jednocześnie słychać było tarcie drzewa o ziemię.

Wkrótce wytłomaczyli sobie to zdumiewające zjawisko: była to barka, płynąca pod rozpiętemi żaglami, która, gdy przechodziła obok domu, porwał ją nieoczekiwanie wicher i rzucił o brzeg tak silnie, że statek formalnie przylepił się do ściany domu. Barka stała teraz spokojnie, a rozgniewany kapitan wydawał ludziom rozkazy.

Przyjacielom wydawał się ów statek z nieba zesłanym wybawcą; Jan miał już zamiar wołaniem zwrócić uwagę ludzi, znajdujących się na pokładzie, na położenie swoje i przyjaciela. Lecz doświadczony marynarz powstrzymał go i rzekł:

— Tym sposobem nic nie zrobimy. Ci ludzie zanadto zajęci są chwilowo sobą i swym statkiem, aby zająć się nami. Zresztą i z innych powodów nie zajmą się nami.

W tym kraju ludzie są bardzo podejrzliwi, nie troszczą się zresztą o innych, szczególnie w tej podejrzanej części miasta. Najlepiej poradzimy sobie sami i wprost nie pytając, spuścimy się na statek. Kiedy będziemy tam na dole, już nas siłą nie wniosą na górę.

Trzeba więc szybko wyzyskać szczęśliwy moment.

Po chwili znów ukazała się w oknie wielka reja masztu. Monsard rzucił się z okna na reję zręcznie i śmiało, jak przystało na marynarza, a następnie dopomógł uczynić to samo swemu przyjacielowi; z rei wleźli na wielki maszt, a następnie po sznurowej drabinie dostali się na pokład.

Dopiero, gdy stanęli na pokładzie, zauważył ich skipper. Zdziwienie jego było nie do opisania: dwie, niewiadomo skąd zjawiające się postacie, wydały mu się jakąś nadprzyrodzoną siłą.

— Wybaczy pan, panie kapitanie—rzekł Monsard, że bez pytania pozwoliliśmy sobie tutaj szukać schronienia. Niezwykłe okoliczności zmusiły nas wyskoczyć z okna i po rei dostać się tutaj.

Skiper, którego nieoczekiwana przygoda wprowadziła w zły humor, miał, zdaje się, chęć nieproszonych gości wprost kazać wyrzucić z okrętu. Mógł ich wprawdzie mieć za włóczęgów, lub gorzej jeszcze, za zbiegłych przestępców, gdyż wskutek mocowania się mieli na sobie porwane ubranie. Lecz gdy Monsard zaczął rozmawiać ze skiprem, pokazując jednocześnie woreczek napełniony banknotami, rozjaśniło się zachmurzone oblicze kapitana i prosił niezwykłych gości, aby zaczekali, zanim statek wydostanie się znów ze swego kłopotliwego położenia na wolną wodę.

Po dziesięciu minutach trzymasztowiec odbił szczęśliwie od brzegu i podążył przez cieśninę „Złote Wrota", łączącą zatokę z otwartym oceanem.

— Gdzie chcecie panowie wylądować?— spytał mrukliwy kapitan, chowając w milczeniu do kieszeni pieniądze, które mu wcisnął do ręki Monsard —Sądzę, że chcecie wysiąść możliwie niespostrzeżenie — dodał, znacząco mrugając oczami.

— Kochany panie, znajduje się jest w błędzie — odparł zimno Monsard... — W tym wypadku nie macie do czynienia ze złodziejami, lecz z porządnymi ludźmi.

Nadzwyczajny zbieg okoliczności oddał nas w ręce bandytów, a myśmy skorzysłali ze szczęśliwego trafu i uciekliśmy z domu tego, w którym nas uwięzili, na pański statek. Niech więc pan będzie na tyle uprzejmy i wysadzi nas na pierwszem lepszem miejscu.

Skiper nic na to nie odpowiedział, lecz z jego twarzy miedzianego koloru można było wyczytać: ten to potrafi dobrze łgać! Po chwili kazał sternikowi zawrócić z powrotem do portu.

Barka przybiła do przystani i zatrzymała się tuż obok ogromnego okrętu, który, jak można było przypuszczać, wkrótce miał odpłynąć, gdyż stojąca na przystani publiczność posyłała na pokład już ostatnie pozdrowienia.

Podczas gdy dwaj przyjaciele wysiadali z barki na ląd, Monsard spojrzał na przedni brzeg parowca i zawołał przerażony:

— „China!" Jeszcze nie odeszła! Prędzej, Janie, może uda się nam jeszcze przyłapać Gonzalesa na pokładzie.

Istotnie był to pocztowy parowiec „China". Odjazd jego do Honolulu spóźniony był o kilka godzin z powodu opóźnienia się ekspresu południowego, którego pocztę miał zabrać. Właśnie wniesiono na okręt ostatnie torby z listami, zabrzmiał pożegnalny świst, a służba zabierała się już do odsuwania mostków, prowadzących z przystani na okręt.

Monsard patrzył na najwyższy pokład, sądząc, że może wśród tłoczących się pasażerów pozna twarz meksykańczyka.

— Zaczekajcie chwilkę, drodzy przyjaciele!—zawołał do służby okrętowej, która miała właśnie zamiar odsunąć mostki i wpadł wraz z Janem na okręt.

Wszyscy zdziwieni przyglądali się spóźnionym gościom, szczególnie zaś ich podartym kostjumom.

Dostawszy się na pokład, rozglądali się wokoło, szukając Gonzalesa, lecz napróżno, nigdzie go widać nie było.

Udali się więc śpiesznie do biura, aby obejrzeć listę pasażerów i dowiedzieć się coś o poszukiwanym.

Zajęci będąc, nie zwrócili uwagi, że odsunięto już ostatni mostek i po powtórnym świstku zaczęły obracać się śruby parowca. Dopiero gdy zadrżały barjery i zabrzmiało głośne: „hurra" pasażerów i pozostającej publiczności, zawołał Monsard do przyjaciela:

— Chodź prędzej, gdyż inaczej popłyniemy z nimi!

Rzucili się do wyścia, lecz zapóźno! „China" była daleko od przystani. Przerażenie malowało się w ich oczach, — cóż dalej? Byli przekonani, że okręt nie zawróci dla nich z powrotem do portu.

— Musimy wrócić z przewodnikiem — rzekł Monsard. Za każdym parowcem idzie mała łódeczka, którą przewodnik, wyprowadziwszy okręt na pełne morze, wraca z powrotem do portu. Kapitan nie weźmie nam tego za złe, postaram się go zresztą udobruchać.

Kapitan, do którego zwrócili się przygodni pasażerowie, wyśmiał się z przygody przyjaciół i rzekł:

— Na drugi raz nie bądźcie tak gwałtownymi, musicie albo wracać z przewodnikiem lub jechać do Honolulu, naturalnie o ile starczy wam na zapłacenie biletu—mówiąc to, spojrzał krytycznym wzrokiem na porwane ubranie podróżnych.

(D. c. n.).



Marja Buyno

KOLEDZY.

Ciąg dalszy.

— Jakie było jego usposobienie w ostatnich czasach?

— W ostatnim tygodniu był niezwykle ożywiony, jakby trochę podniecony.

— Czy miał jakie przykre przejścia w szkole?

— O ile wiem, nie! przynajmniej nic mi o tem nie mówił, a wogóle mówi mi wszystko. Co prawda w ostatnich czasach tak mało się widywaliśmy. On do trzeciej w szkole, a potem ja na lekcjach...

— Pani pozwoli, że ja przy chorym posiedzę czas jakiś... może się czegoś dowiemy z tego, co mówi...

Wziąwszy ołówek, notował pilnie w notesie gorączkowe, oderwane wyrazy, starając się wyciągnąć z nich jakiś wniosek, coś, coby rzuciło niejakie światło na powód choroby. Bo stary doktór przeczuwał, że niespokojne bredzenie chłopca kryje jakąś tragedję młodej duszyczki.

Pani Strzemboszowa, pozornie spokojna, lecz o dziwnie bladej, kredowej twarzy, rozszerzonemi oczami wpatrywała się w doktora, nie mając odwagi pytać, by nie usłyszeć groźnej wiadomości.

A Michaś rzucał się niespokojnie, jęcząc lub wykrzykując przejmującym głosem:

— Nie chcę już... nie mogę... Wszystko przepadło! O, puśćcie mnie!... To nieprawda! Nie wiedziałem.

To znów przemawiał do kogoś łagodnie, serdecznie.

— Pan taki dobry! O, dziękuję, bardzo dziękuję! Teraz już wszystko będzie dobrze!

Czasem śmiał się radośnie.

— Zobaczysz... zobaczysz! — powtarzał bez końca.

Doktór snać wyczuł błagalne spojrzenie matki i zwrócił się do niej, starając się miękkim tonem łagodzić znaczenie wyrazów:

— Obawiam się, że chłopiec przeszedł jakieś bardzo ciężkie chwile... Ach, my starzy nie jesteśmy czasami zdolni odczuć, jak bardzo wrażliwa jest dusza dziecka, jakie często katusze przechodzi... Zdaje się, że syn pani właśnie tak się męczył... Czuję to w tych wyrazach, napozór niewiele znaczących... Obawiam się, że jakieś przejścia bardzo wstrząsnęły jego systemem nerwowym, że... hm... że... No, jeszcze niewiadomo... W każdym razie potrzebny jest spokój, bezwzględny spokój.

— Ale to nie szkarlatyna?

— O, nie, nie! Raczej, coś...

— Doktorze! To moje jedyne dziecko; ja muszę wiedzieć wszystko! — zawołała pani Strzemboszowa.

— Obawiam się... hm... że, no, że to może być... hm... no... coś mózgowego!

Jęk cichy, lecz tak bolesny wydobył się z piersi nieszczęsnej matki, że doktór bezwiednie przybiegł do niej i łagodnie, serdecznie położywszy ręce na ramionach pani Strzemboszowej, mówił przekonywająco:

— Proszę nie rozpaczać! To nic mu nie pomoże! Musimy zebrać wszystkie siły, by go ratować! Musimy być czujni na każdy najmniejszy objaw, gotowi każdej chwili do niesienia pomocy! Musimy być przytomni, niezmordowani i wierzyć mocno, całą siłą duszy wierzyć, że go uratujemy!

Zgnębiona kobieta podniosła swe piękne, przepełnione bólem oczy na mówiącego.

— Dziękuję! Może doktór na mnie liczyć! Pokonam w sobie wszystko; będę tylko istotą walczącą z nadchodzącym wrogiem! Lecz doktorze, czy można mieć nadzieję uratowania go!

— Nadzieję zawsze mieć trzeba! Chłopiec jest silny...

Nadeszła Franciszka i stanęła cicho, bez słowa, gotowa na każde skinienie, uważna, czujna, ani jednym giestem. ani mrugnięciem oka nie zdradzając rozpaczy, jaka ją napełniała.

I zaczęły się długie godziny czuwania, męki, zwątpienia, błysków nadziei, niemej rozpaczy i zaciętej, nieugiętej walki ze słaniającem się po kątach widmem śmierci, krążącej z takąż siłą koło jasnej główki, z jaką starano się ją odpędzić.

Zacny człowiek, pełen miłości dla wszystkich dzieci, parę godzin temu jeszcze obcy obu kobietom, zespolił się z niemi w nieszczęściu i trwał na stanowisku już nietylko jako lekarz, lecz jak ktoś, kto pragnie wyrwać śmierci drogą sobie istotę.

I tylko oczy matki, rozszerzone bólem i pociemniałe rozpaczą, suche, bez łzy jednej, wskazywały, iż jedno serce cierpi ponad wszelką miarę, a bohaterski spokój powoduje tylko przeświadczenie, iż jeszcze coś robić można dla tego drogiego, ukochanego...!

* * *

Pan Molski, zaledwie wszedł do klasy, rzucił okiem na ławkę, w której widniała zwykle jasna głowa Michasia, i dostrzegłszy puste miejsce, zapytał od proga:

— Co to, Strzembosz nieobecny?

— Nie przychodzi od paru dni—odrzekł uczeń pełniący dyżur w klasie.

— Co mu się stało? Dlaczego? — pytał, mocno zaniepokojony profesor, nie starając się nawet zapanować nad niemiłem wrażeniem, jakie na nim wywarła nieobecność chłopca.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

— Jakto? Nikt nie wie? Ty, Witoldzie, wiedzieć chyba o tem musisz?—pytał coraz natarczywiej.

Witold podniósł się i rzekł zwolna, dobitnie:

— Nie widziałem Strzembosza od chwili, gdy wyszedł ze szkoły, oddawszy poprzednio wypracowanie, w całej klasie jedyne...

Profesor Molski ściągnął gniewnie brwi, poruszył ustami, jakby chciał wybuchnąć ostremi słowami, lecz pohamował się i rozpoczął spokojnie lekcję.

Po wyjściu z klasy przywołał do siebie Zygmunta.

— Nie chciałbym mieszać się w wasze koleżeńskie sprawy, lecz ten fakt interesuje mnie specjalnie — rzekł nieco drżącym głosem.—Czy nie mógłbyś mi powiedzieć, co postanowiliście w sprawie Strzembosza?

Zygmunt, po raz pierwszy może w życiu, nie śmiał podnieść oczu, by spojrzeć w twarz tego szlachetnego człowieka:

— Strzembosz wiedział o postanowieniu kolegów i mimo to wyłamał się z pod ogólnej decyzji, może zresztą niesłusznej—objawił cichym, niepewnym głosem.

— To być nie może! Mylicie się co do Strzembosza, jestem tego zupełnie pewnym. W tem wszystkiem od samego początku jest jakieś wielkie nieporozumienie! — mówił, gorączkując się i nie starając, nawet zapanować nad swem podnieceniem pan Molski.

— I ja tak sądzę — cichutko zauważył Zygmunt.

— Doprawdy?—ucieszył się profesor.— Widziałeś jego oczy? Co? Sama w nich szlachetność i prawość. Nie, nie! Ten chłopak nie mógł popełnić świadomie czegoś nieszlachetnego!

— A jednak...

I Zygmunt opowiedział panu Molskiemu wszystko, — stanowczą odmowę w należeniu do składki na chorego kolegę, wzgardliwe milczenie wobec zarzutów kolegów, ani jednego wyjaśnienia swego postępowania, wreszcie to wypracowanie...

Profesor słuchał pilnie.

— Czy Strzembosz jest zamożny?

— Zdaje się. To napewno wiemy, że ma bardzo bogatego stryja... Sam też wydawał się zamożnym,—ubrany zawsze bez zarzutu, miał wszystko, co mu było potrzeba...

— Kto wam powiedział, że Strzebmosz wiedział o postanowieniu klasy?

— Witold.

Pan Molski machnął niechętnie ręką.

— On jeden mógł coś o tem wiedzieć, gdyż on jeden żył w pewnej jakby przyjaźni ze Strzemboszem, i przyznam się — tu Zygmunt zaczerwienił się nieco — to właśnie zniechęcało mnie najwięcej do Strzembosza.

— Dlaczego?

Zygmunt zawahał się na chwilę.

— Może nie powinienem tego mówić, ale wiem, że pan profesor jest zacnym przyjacielem młodzieży, że zna jej serca... a w tej sprawie chodzi panu profesorowi o oczyszczenie Strzembosza taksamo, jak mnie.

— Mów śmiało, chłopcze! Bądź pewny, że cię zrozumiem należycie.

— Otóż, podług mnie, Witold jest niedobrym kolegą i... zdaje mi się... choć mogę się mylić... nieszczerym, egoistą! Dlaczego jego właśnie, najmniej wartego ze wszystkich kolegów, wybrał sobie Strzembosz za przyjaciela?

— Wyście wszyscy odsunęli się od niego. Jeden Witold zbliżył się z dobrem słowem.

— Tak, to prawda! A Witold chciał mieć silnego obrońcę od złośliwych kolegów. Tymczasem Strzembosz unikał wszelkich starć, nie stawał z pięścią w jego obronie...

Zygmunt przerwał nagle jakby przerażony.

— Panie profesorze! panie profesorze! Nie chcę oskarżać kolegi! Może to tylko niemądre moje przypuszczenia! Od kilku dni straciłem sąd o wszystkiem, czuję, że się stało coś niedobrego, i męczę się tem bardzo!

Pan Molski ujął rękę chłopca i popatrzył serdecznie w szlachetne, mądre oczy.

— Wiem, że masz wpływ w klasie; skoro tak myślisz, dlaczego pozwoliłeś kolegom na potępienie Strzembosza?

Zygmunt zaczerwienił się, a potem zbladł silnie:

— Straciłem ten wpływ od czasu, gdy sam jestem na rozdrożu. Moje słowa nie przekonały,—uwierzono Witoldowi!

Profesor Molski przeszedł się parę razy po pokoju, trąc czoło niespokojnemi ruchami.

— Dziękuję ci za wyjaśnienia — rzekł wreszcie, — namyślę się, co robić dalej. A tymczasem daj mi rękę! Jesteś zacny chłopiec, wyrośniesz na dzielnego obywatela kraju!

(D. c. n.)

SZAKALE I HIJENY.

Wyobraź sobie kochany czytelniku, że jakimś niepojętym cudem przeniosłeś się nagle do oazy Tebbes, położonej pośrodku perskiej pustyni, gdzie studnie i gaj stutysięcznych palm dają wyczerpanemu podróżnemu cień i orzeźwienie. Widzę twoje zdumienie, gdy zaraz pierwszego wieczoru usłyszysz osobliwą serenadę, dochodzącą z pustyni. Przy niknącem świetle dnia siedzisz, czytając, w swoim namiocie; wtem spoglądasz po za książkę i zaczynasz nadsłuchiwać! Niemiło wtedy i smutno siedzieć tak samemu w namiocie! A przecież każdego wieczoru niezmiennie, jak zachód słońca, powtarza się podobna muzyka, aż wkrótce przyzwyczaisz się i nic sobie z niej nie robisz.

Są to przecież tylko szakale, śpiewające swą pieśń wieczorną. Słowo: „szakal" pochodzi z języka perskiego; jest on krewniakiem, psa, wilka i lisa. Sierść jego barwy szaro-żółtej, uszy spiczaste i małe, modre, niewielkie, żywe oczy; zwierzę kroczy cicho, z ogonem spuszczonym. Należy do zwierząt drapieżnych i dopiero nocą wychodzi na żer. Patrzy łakomie na wszystko, co tylko da się zjeść, lecz kury i winogrona woli, niż zdechłe zwierzęta z karawany. Po silnej burzy, kiedy w gajach palmowych spadnie dużo dojrzałych daktyli, szakal zawsze znajdzie się na stanowisku i gruntownie wyzbiera wszystkie owoce. Słowem, szakal jest bezwstydnym i natrętnym żebrakiem. Byłem wściekły, ale i zarazem zdumiony, kiedy pewnej nocy szakale chyłkiem wsunęły się do ogrodu i ukradły prawie z przed nosa psom, jedynego naszego koguta. Obudziło nas straszne ujadanie, w bójce tej jednak szakale zostały zwycięzcami; usłyszeliśmy tylko rozpaczliwy wrzask naszego biednego koguta, zaumierający w oddali.

Jeden Bóg wie chyba, gdzie podziewa się ta hołota, kiedy słońce rankiem wzejdzie na niebo! W podręcznikach zoologicznych piszą, że kryją się one po pieczarach, lecz ja nie znalazłem przy oazie Tebbes ani śladu pieczary, a przecież szakale przychodziły w każdą noc do oazy. Są one tak zagadkowe, jak sama pustynia; są wszędzie i nigdzie. Wielokrotnie podczas moich wędrówek w okolicach Tebbes myślałem, że choć przypadkiem uda mi się natrafić na ich ślad, lecz pustynia leżała przede mną milcząca, bez znaku życia na swej powierzchni. A mimo to codzień stawały w ciemnościach, śmiejąc się przed mym namiotem i zdawały się pytać, czy nie mam więcej kogutów.

Skoro tylko słońce skryje się za horyzontem, ciemności rozpostrą swe zasłony ponad cichym krajobrazem, a palmy poczną marzyć z tęsknotą o powrocie słońca, wtedy w odległości jakich 200 metrów rozpoczyna się szalony koncert. Brzmi on jak krótki, urywany śmiech, od głębokiego basu przechodząc w cienki dyszkant, jak wycie żałosne, to wzmagające się, to znów milknące, by usłyszeć od-

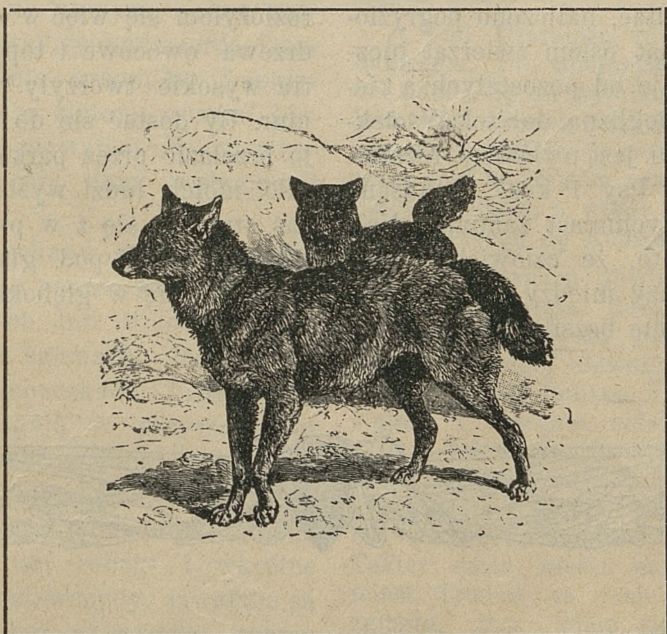
dźwięk w innem stadzie, lub też jak krzyk strachu będących w niebezpieczeństwie dzieci, które wołają o pomoc. Trudno określić dokładniej ten dźwięk. Rozlewa się on, jak fale, dookoła oazy.

Wycie szakali jest głosem pustyni; woła on o pożywienie. „Towarzysze, jesteśmy głodni", nawołują się one, „trzeba iść na żer". Ukradkiem przybliżają się do oazy, błyskawicznie przesadzają mury i płoty, i zawsze plądrują w zakazanych im miejscach. Gdyby koguty nie miały takiego głupiego, ptasiego mózgu, pochowałyby się napewno w mysie nory, skoro tylko rozpocznie się pieśń wieczorna szakali.

Czego już też nie mają na sumieniu ci niewidzialni, a jednak głośni mali rabusie przydrożni, którzy od przylądka Zielonego, najdalej wysuniętego na zachód cypla Starego Świata, aż do wnętrza Indji żyją z odpadków pustyni? Ich drzewo rodowe jest conajmniej tak stare, jak palma, a u narodów wschodu wyliczanie ich przekroczeń jest tak obfite, jak u nas litanja grzechów poczciwego lisa. Zabawiamy się też niekiedy anegdotkami na ten temat.

Ojczyzną ich nie jest jednakże tylko cicha, równa pustynia. Gdy w klubach w Simli, miejscu letniego pobytu wicekróla Indji, gra wojskowa muzyka, dość tylko wychylić głowę za okno, by usłyszeć żałosne szczekanie i rozpaczliwe wycie szakali.

Jednakże nie można zbyt lekkomyślnie żartować z temi bestjami! W roku 1882 w Bengalu prawie 359 ludzi zostało zagryzionych przez szakali. Gdy się szakal wścieknie, staje się wtedy bardzo niebezpiecznym. Doświadczyła tego razu pewnego straż pograniczna w Seistanie. Nocą przyczołgał się wściekły szakal do obozu i ugryzł jednego śpiącego w twarz; po upływie sześciu tygodni człowiek ten umarł. Inne wkradły się do domów tuziemców, zaczajały się i czekały sposobności do kąsania.



Szakale.

Najstraszliwsza jednak była pewna ciemna noc zimowa, kiedy wiatr północny wył

i miotał tumany pyłu po ziemi; wówczas wślizgnął się niepostrzeżenie wściekły szakal do obozu Anglików. Wpełznął naprzód do namiotu, gdzie spało kilku ludzi i, schwyciwszy derkę, zaczął nią szarpać. Śpiący zerwali się i schwycili za broń. Obóz składał się z trzech oddziałów i przeszło stu przywiązanych dromaderów. W nieprzejrzanym mroku nie było widać, gdzie się niepożądany przybysz obraca, lecz wkrótce z różnych stron dał się słyszeć straszliwy, rozpaczliwy ryk dromaderów, a gdy zaczęło świtać, naliczono pogryzionych siedemdziesiąt osiem zwierząt jucznych. Oddzielono je od pozostałych, a kiedy je napadła wścieklizna, dobito! Wściekły dromader, jeżeli jest uwiązany, rozszarpuje sam siebie. Psy i kozy, pokąsane przez szakala, natychmiast zabijają. Najprzykrzejsze jest to, że człowiek wobec wybuchu tej zarazy między dzikiemi bestjami, jest zupełnie bezsilny. Późną nocą zakrada się szakal bez szmeru do ogniska obozowego i kąsa, nim się zdąży chwycić za broń; tylko dobrze wycelowana kula może uchronić człowieka od tej klęski.

Przed dwudziestu laty sam miałem małą przygodę z szakalami. Jechałem wtedy z dwoma służącymi i parą koni z wnętrza Persji ku wybrzeżom morza Kaspijskiego; rozłożyłem się obozem we wsi w górach Elbrusu. Ponieważ w karawanseraju niepodobna było nocować z powodu wielkiej ilości jadowitego robactwa, rozłożyłem się więc w ogrodzie, w którym drzewa owocowe i topole na półtora metra wysokie tworzyły prawie nieprzebyty mur. By dostać się do ogrodu, trzeba było przełazić przez parkan. Gdy się ściemniło, moich ludzi wysłałem na wieś, sam zaś otuliłem się z w płaszcz i derkę, podłożyłem siodło pod głowę i wkrótce pogrążyłem się w głęboki sen.

(D. n.)

Prima-aprilis.

Wstarożytnym Rzymie obchodzono święto, zwane saturnalia, w ciągu którego słudzy przez cały dzień zajmowali miejsce panów, a panowie sług.

Czy uwierzyłby kto, że ta tradycja utrzymała się do dziś dnia w Smedley, małej stacji kąpielowej, leżącej w okolicach Londynu! Najzabawniejszem jest to, że wesoła ta zabawa przypada corocznie w dniu miłym dla wszystkich żartownisiów, t. j. 1-go kwietnia

A więc w dzień „Prima Aprilis" goście wszystkich pensjonatów i hoteli w Smedley, jakikolwiek byłby ich wiek, płeć i położenie towarzyskie, zamieniają ubranie i zajęcia ze służącymi, gotują obiad, usłu-

gują im przy stole, który sami nakryli; posuwają nawet swoją uprzejmość do tego stopnia, że przynoszą im ciasta i chłodniki do sali, w której ci tańczą zawzięcie przy wesołych dźwiękach orkiestry.

Jeżeli w administracji hotelu panuje w tym dniu pewne zamieszanie, wszystkich bawi to jeszcze bardziej. Adwokat przysięgły, Dawid, pełniący obowiązki numerowego, słysząc dźwięki kilku dzwonków elektrycznych, nie może zorjentować się, skąd one pochodzą, biega więc zadyszany z numeru do numeru, chcąc gościom usłużyć. Dwaj synowie lorda Douglas pełnią funkcję groom'ów i przywdziawszy kurtki ze złotemi guzami, biegają po schodach zsuwając się po poręczy, napełniając cały dom wybuchami śmiechu.

W kuchni niesłychany ruch i wrzawa; dziesięć eleganckich panien, które w przeddzień w jedwabnych lub tiulowych sukniach królowały w salonach, – teraz w zalotnych białych czepeczkach i fartuszkach z szelkami, pomagają w przyrządzaniu obiadu. Przygotować grzanki i kanapki na przekąskę, to jest dosyć łatwo. Ale czyścić noże, to ciężkie zadanie. Każda po kolei próbuje tej roboty i wkrótce wszystkie młode dziewczyny, zawalane są czerwonym proszkiem, aż po sam koniec swoich ładnych nosków.

A jakież odbywają się wyścigi, gdy który z gości zadzwoni!

Mister Cheesman, bogaty przemysłowiec z Nottingham, znakomicie spełnia obowiązki marszałka dworu i z nieposzlakowanej białości serwetą na ramieniu pilnuje, aby usługa szła szybko.

Te saturnalia w Semdley, które ożywiają corocznie małą stację kąpielową, nie miałyby powodzenia nigdzie indziej. Ale Anglicy lubią figle i „Prima-Aprilis" jest u nich bardzo ożywiony.

KRONICZKA.

△ Adrjanopol poddał się bułgarom. Niezdobyta dotychczas twierdza, dzielnie broniona przez Turków pod wodzą Szukri-baszy, w dniu 25-ym Marca po gwałtownym ataku wojsk bułgarskich, dostała się w ręce zwycięzców.

W dwa dni potem odbył się uroczysty wjazd do miasta cara bułgarskiego, Ferdynanda.

Krążą pogłoski, że wśród wziętych do niewoli dygnitarzy, znajduje się turecki następca tronu.

△ Pod Czataldżą również powiodło się bułgarom. Po uporczywej dwudniowej walce, udało się im wyprzeć Turków ze wszystkich ważniejszych pozycji. Miasto Czataldża zmuszone zostało do poddania się. Spodziewane jest w krótkim czasie zdobycie pozostałych fortów, a wtedy bułgarzy będą mieć otwartą drogę do Konstantynopola.

△ W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, święta Wielkanocne zaznaczyły się niebywałą klęską powodzi. Po trzydniowej gwałtownej ulewie, wszystkie rzeki w Stanach Ohio, Indjana i Pensylwanja, wystąpiły z brzegów, zalewając olbrzymie terytorja tak nagle, że o ratunku ludzi i dobytku ich nie mogło być mowy. Ludne i bogate miasto Dayton, zalały wody całkowicie, przyczem zginęło około 5.000 ludzi. Takież same wieści nadchodzą i z innych miast. Trudno na razie obliczyć ile osób zginęło, lecz zdaje się, że więcej niż 10,000 ludzi. Straty są miljonowe. Dziesiątki tysięcy osób pozbawione są pracy.

Straszna ta klęska dotknęła niezawodnie i licznie zamieszkałych w tych stronach emigrantów polskich.

△ Nestor literatów polskich, Teodor Tomasz Jeż (Zygmunt Miłkowski) obchodził w pierwszy dzień świąt Wielkanocnych 90-tą rocznicę swych urodzin. Cała Polska odpowiednio uroczystość tę uczciła. W przyszłym numerze podamy szczegółowy życiorys zasłużonego pisarza.

„O własnych siłach“.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez «Polną Różyczkę».

Z następujących sylab ułożyć 17 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko króla polskiego.

Sylaby: ga, af, lo, łu, a, dub, wi, a, pir, je, stan, kar, et, ka, rjon, kie, wam, kar, u, ron, za, mon, york, told, ga, i, tek, ni, o, łut, zan, ło, lin, lja, ry, sa, ków, rzy, na, łąt.

Znaczenie wyrazów:

1. Imię księcia litewskiego.
2. Miasto w gub. Siedleckiej.
3. Kraj w Azji.
4. Stolica państwa Europejskiego.
5. Hrabstwo w Anglji.
6. Król izraelski.
7. Miara ciężkości.
8. Kwiat.
9. Gatunek nietoperza.
10. Imię męzkie.
11. Postać biblijna.
12. Najwyższy szczyt w Himalajach.
13. Postać mitologiczna.
14. Wulkan w Europie.
15. Przydomek króla polskiego.
16. Owad.
17. Konstelacja gwiazd.

SZARADA

ułożona przez Jadzię Sz. z ul. Chłodnej.

—o—

Gdy do *pierwszej* *z* włożycie,
Znaną liczbę utworzycie
Drugie — przyimek i rzeka
Dobrze znana, choć daleka.
Trzecia — zwierzę to nie małe —
W geografji znajdziesz *całe*.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Ef-Ha dla Kaliny.

Z następujących sylab ułożyć 11 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego poety z zeszłego stulecia.

Sylaby: wa, nec, cy, e, na, tim, y, pa, o, lim, ha, gna. ko, rus, ry, łę. buk, terb, ra, wo, po, bi, cy, tre, czów, tu, gwaj, lo, ci, chodź, a, gja, ko, po, i.

Znaczenie wyrazów:

1. Sekta mahometańska.
2. Pisarz polski (imię i nazwisko).
3. Jezioro w Polsce.
4. Założyciel państwa Perskiego.
5. Kolonja włoska w Afryce.
6. Miejscowość lecznicza w Polsce.
7. Miasto na Saharze.
8. Pierwiastek chemiczny.
9. Rzeczpospolita w Ameryce.
10. Nauka o jajach.
11. Rzeka w Afryce.

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Warunki prenumeraty

w Warszawie		z przesyłką
Rocznie	rb. 4 —	rb. 5 kop. —
Półrocznie	„ 2 —	„ 2 „ 50
Kwartalnie	„ 1	„ 1 „ 25

Za granicą rocznie rb. 5 kop. 50

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.

Adres Administracji — Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji — Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa.** Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3